



Protest rodziny Macieja Płażyńskiego

tekst

KS. SŁAWOMIR CZALEJ

redaktor wydania

Lubię ludzi, którzy nie mają telewizorów. Nie dlatego, że w swoim życiu jeszcze nie „zdążyłem” kupić własnego. I nie dlatego, że bym usadawiał siebie na pozycji katolickiego taliba. Ale podświadomie czuję, że z takim człowiekiem warto pogadać. Dlaczego? Bo wydaje się, że ma na tyle ciekawe życie, iż nie potrzebuje informacji z kraju i ze świata. W końcu i tak o wszystkim doniosą sąsiedzi. Poza tym dzieci są zdrowsze i chyba mniej grzeszne. Lepsza jest bowiem katecheza rodzicielska niż ta z „tego świata”. A że brak telewizora nie oznacza nudy, postaramy się udowodnić już w kolejnych numerach.

W tym roku będą aż dwa konkursy! Jeden wraz z gdańskim zoo organizuje Andrzej Urbański, drugi, „pomorskokentryczny”, ja sam. Ale nie żebyśmy się kłócili. Dzisiaj przedsmak tego, że także nasza archidiecezja i samo Pomorze skrywają jeszcze wiele tajemnic. Odkryte w zeszłym roku pomieszczenie, być może, było miejscem, gdzie przed podróżą do Szwecji spoczywało ciało św. Brygidy, patronki Europy. Tej samej, która papieżom w niewoli awiniońskiej nie wahała się zwrócić uwagi, żeby jednak zrzucali nieco z przepychem i świeckim stylem życia...

Nie uznawał kompromisów



Córka i żona Macieja Płażyńskiego sprzeciwiły się instrumentalnemu wykorzystywaniu nazwiska nieżyjącego już ojca i męża na Konwencji PO w Gdańsku.

Podczas zjazdu działaczy PO Grzegorz Schetyna, marszałek Sejmu, wykorzystał do celów promocji partii nazwisko Macieja Płażyńskiego. – Maciek Płażyński (...) kibicuje nam, ściska za Platformę kciuki i mówi: wygrajcie to... – przemawiał Schetyna.

Przeciwko takiemu zachowaniu zaprotestowała najbliższa rodzina nieżyjącego już jednego z trzech założycieli PO. „Maciej Płażyński

często powtarzał: to nieprawda, że nie ma ludzi niezastąpionych. Od 10 kwietnia 2010 r. doświadczamy, jak boleśnie prawdziwe jest to stwierdzenie. W działalności publicznej podstawą była dla niego wiarygodność. Gdy w 2001 r. tworzył Platformę Obywatelską, chciał, by było to ugrupowanie oparte na strukturach oddolnych, niewykłanych w politykę propagandy i zakulisowych rozstrzygnięć. Platformę opuścił, gdyż nie uznawał kompromisów wobec założycielskich zobowiązań, od których krok po kroku zaczęto odchodzić” – napisały m.in. Elżbieta Płażyńska i jej córka Katarzyna.

Dodały, że jako niezależny poseł i senator rzeczowo i obiektywnie poddawał ocenie rozwój partii i działalność jej liderów. Bez względu na to, czy była to ostra krytyka, czy też słowa poparcia, swój osąd opierał na twardych argumentach. „Platforma Obywatelska jest dziś

partią władzy. Jak wynika z medialnego przekazu, jest to partia, która krzewi optymizm i miłość wśród naszych rodaków. Nam, którzy trochę ponad rok temu stracili ukochaną osobę, ten optymizm jednak się nie udziela. Pan premier Donald Tusk zachęcał do bycia dumnym z naszego państwa. W pierwszą rocznicę tragedii smoleńskiej staliśmy obok szczątków samolotu, w którym 96 osób spędziło ostatnie chwile życia. Oprócz bezmiaru smutku czuliśmy wstyd i poczucie opuszczenia ze strony władz państwowych, składając kwiaty przy wraku TU-154 częściowo nakrytym brezentem, który w sposób prowizoryczny przytrzymało kilka starszych opon” – napisały żona i córka Macieja Płażyńskiego.

Sarkofag Macieja Płażyńskiego w gdańskiej bazylice Mariackiej

au



o. Edward Prac

Naszym najważniejszym zadaniem duszpasterskim jest być z człowiekiem w trzech wymiarach: socjalnym, humanitarnym i duchowym. Potrzeba być z nim w solidarności. Bo duszpasterstwo ludzi morza ma przede wszystkim dawać świadectwo poprzez posługę słowa, liturgię i służbę. Służąc drugiemu człowiekowi. Dzisiaj trzeba zauważać

człowieka. Powitać go. Tak jak powiedział Jan Paweł II: „Miłość i przyjęcie drugiego jest pierwszą i najbardziej skuteczną formą ewangelizacji”. Na czym powinno polegać nasze duszpasterstwo? My często spotykamy się z ludźmi, którzy po raz pierwszy dowiadują się o Jezusie Chrystusie. Oczywiście mamy już takich, którzy są ochrzczeni, ale i mnóstwo takich, którzy po raz pierwszy spotykają znaki wywierające na nich konkretne bodźce.

One pobudzają ich do tego, że człowiek odczuwa, że żyje dla wyższych wartości. Nie tylko dla ekonomii, zarabiania pieniędzy, ale przede wszystkim buduje rodzinę i odkrywa kontakt z Bogiem. Ważne jest, żeby tym ludziom pokazać wartości. Wówczas oni sami czują się zdrowsi i bezpieczniejsi.

25.06.2011 r.
na Światowy Dzień Marynarza

Góra Tabor 2011

WŁADYSŁAWOWO. Spotkanie Młodych „Góra Tabor” już po raz dziewiąty odbędzie się we Władysławowie od 30 czerwca do 3 lipca. Skupia co roku coraz większą liczbę młodych z różnych stron Polski. – Idea spotkań „Góra Tabor” jest wskazanie młodzieży, nieraz zagubionej i poszukującej, sensu ich życia, tożsamości oraz wartości przed Bogiem – mówi organizator, ks. Mariusz Sokołowski. Warto przypomnieć, że za czasów Jezusa góra Tabor była miejscem Jego przemienienia i objawienia uczniom Bóstwa. – To zdarzenie miało umocnić uczniów na dalszej, niełatwej drodze ich życia. Dzisiaj młodzież, w większości licealna

i studenci, dotykają Boga, mają rozpalić w sobie pragnienie przemiany i uwierzyć, że nigdy nie jest za późno na właściwe decyzje – dodaje ks. Mariusz. To wakacyjne wydarzenia jest pewnego rodzaju rekonstrukcją, które mają dać okazję młodemu człowiekowi do postawienia zasadniczych pytań: Kim jestem dla siebie, bliźniego i w końcu Boga? A także: Panie, czego ode mnie oczekujesz? W szukaniu odpowiedzi na takie i podobne pytania pomaga bogaty program



formacyjny spotkania, w którym zawarte są konferencje, koncerty, adoracja, Eucharystia (także nocą na plaży), muzyczne uwielbienie Boga, Droga Świata (marsz późnym wieczorem z pochodniami przy towarzyszeniu śpiewu, modlitwy na plaży) oraz wspólne zabawy, taniec, turniej siatkówki na plaży dający sposobność lepszej integracji młodzieży. Tegoroczne Spotkanie Młodych „Góra Tabor” odbędzie się pod hasłem: „aby RADOŚĆ wasza była pełna” (J 15, 11).

Mir i Dar



GDYNIA. Zapowiada się pasjonujący pojedynek bliźniaków – naprzeciw siebie w regatowych zmaganiach staną dwa siostrzane żaglowce: gdyński „Dar Młodzieży” i rosyjski „Mir”. Obie fregaty zostały zaprojektowane przez inżyniera Zygmunta Chorenina i wybudowane w Polsce. I choć te jednostki wielokrotnie uczestniczyły razem w regatach „The Tall Ships’ Races”, to nigdy nie stanęły do bezpośredniego wyścigu. Podczas pobytu rosyjskiej fregaty w Gdyni z okazji Światowego Zjazdu Uczelni Morskich, na pokładzie „Daru Pomorza” doszło

do spotkania kapitanów: Wiktora Antonowa („Mir”) i Artura Króla („Dar Młodzieży”), którzy ustalili reguły pojedynku, a zobowiązanie do startu przypieczętowali podpisami pod specjalnym dokumentem. Żaglowce będą się ścigać na trasie z Turku do Gdyni podczas regat The Culture 2011 Tall Ships Regatta. Trofeum, nawiązujące do historycznych wyścigów kliprów herbacianych, rywalizujących w XIX wieku na szlaku z Chin do Anglii, zostanie wręczone zwycięskiej fregacie 5 września podczas zlotu żaglowców w Gdyni.

Urodzinowy portret

GDYNIA. Jeszcze do końca czerwca można przyłączyć się do Urodzinowego Portretu Gdynian, stworzonego z okazji 85. urodzin miasta. Dotychczas zrobiło to już prawie 7500 osób. Zebrane zdjęcia, których w założeniu ma być 10 tysięcy, tworzą urodzinowy znak Gdyni, a portret zostanie powiększony, wydrukowany i powieszony w centrum Gdyni. Portret wysokości kilkunastu metrów pojawi się na szczytowej ścianie kamienicy na rogu ul. Świętojańskiej i al. Marsz. Piłsudskiego, po przekątnej gdyńskiego magistratu. Szczegóły na stronie internetowej: www.gdynia.pl/85.

Centrum Informacyjne
Archidiecezji Gdańskiej:

www.adalbertus.gda.pl

GOŚĆ GDAŃSKI

gdansk@gosc.pl

ADRES REDAKCJI:
ul. bp. E. Nowickiego 2, 80-330 Gdańsk
TELEFON/FAKS (58) 554 34 15
REDAGUJĄ:
ks. Sławomir Czajek – dyrektor oddziału,
Andrzej Urbański

Festyn rodzinny w Nowym Porcie

Westerplatte każdego z nas

– Pamiętam, co mówił Ojciec Święty – Waldemar Jaroszewicz, szef „Civitas Christiana” w Gdańsku, wspomina spotkanie z Janem Pawłem II, do którego doszło 12 czerwca 1987 roku.

Wreszcie jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba utrzymać i obronić. Tak jak to Westerplatte” – dopowiedział, przyglądając się młodym, błogosławiony Jan Paweł II.

Dzisiaj, po tylu latach wielu ludzi wraca do tamtych chwil i spotkań. Czas na refleksję znalazł się także podczas rodzinnego festynu w Nowym Porcie. – Pamiętam doskonale słowa, które do nas skierował Jan Paweł II. Także okłaski kilkunastotysięcznej rzeszy młodych ludzi, które wyrażały zrozumienie tego, co do nas mówił Ojciec Święty – przypomina atmosferę tamtego spotkania, Waldemar Jaroszewicz, szef „Civitas Christiana” w Gdańsku. Podkreśla jednocześnie, że wartości, o których mówił wówczas papież, paradoksalnie trzeba bronić dzisiaj z jeszcze większą intensywnością. – Dziś odbywa się bezprecedensowy atak na godność człowieka. Dotyczy to zarówno osób dorosłych, jak i dzieci i młodzieży – twierdzi Jaroszewicz. Oprócz godności, o którą trzeba walczyć, wymienia dalej wolność oraz solidarność społeczną. – Dzisiaj na każdym kroku doświadczamy braku zrozumienia dla tych wartości. Problemem staje się także poszanowanie rodziny, dlatego zdecydowaliśmy się zorganizować nasz festyn – dodaje ks. Wiesław Philipp, proboszcz w parafii św. Jadwigi Śląskiej w Nowym Porcie.



Ks. Wiesław Philipp często szuka wsparcia u błogosławionego papieża



Arcebisbup Sławoj Leszek Głódź na zakończenie Eucharystii pobłogosławił obecnych Najświętszym Sakramentem na sposób ludzki

Wspomnienie spotkania bł. Jana Pawła II z chorymi

Pocieszał i dawał nadzieję

Chorzy, niepełnosprawni, cierpiący wraz z opiekunami, wolontariuszami Caritas i pracownikami służby zdrowia uczestniczyli we Mszy św. w rocznicę spotkania z Janem Pawłem II w 1987 roku w bazylice Mariackiej w Gdańsku.

Chciałbym spotkać każdego z was, w każdym miejscu na ziemi, by was pobłogosławić w imieniu Jezusa Chrystusa, który uzdrawiał chorych. Chciałbym stanąć obok was, by umacniać odwagę, ożywiać nadzieję, aby każdy z was umiał złożyć samego siebie w darze Chrystusowi – przypomniał na początku Eucharystii słowa Jana Pawła II z orędzia na II Światowy Dzień Chorego ks. Dariusz Ławik, kapelan Domu Hospicyjnego św. Józefa w Sopocie. Uroczystej Mszy św. z chorymi i pracownikami służby zdrowia wraz z gdańskimi biskupami oraz kapłanami przewodniczył metropolita gdański abp Sławoj Leszek Głódź. W homilii podkreślił ogromnie ważną rolę w dzisiejszym świecie osób cierpiących, chorych i opuszczonych. – Przeżywamy swoje ograniczenie związane z chorobą i cierpieniem. Być może minął już bezpowrotnie czas aktywności zawodowej, osłabł życiowy dynamizm, uszczupliły się nasze siły vitalne, pojawiła się coraz większa świadomość uzależnienia od innych. Z trudnością

mierzymy się z najbardziej zwykłymi, codziennymi sprawami. W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się dzieje, przychodzi z pomocą Ewangelia, która każe nam wrócić pod krzyż – mówił metropolita gdański abp Sławoj Leszek Głódź. Przypominając słowa błogosławionego Jana Pawła II, gdański hierarcha podkreślił, że bez odniesienia do Chrystusowego krzyża nie zrozumiemy ludzkiego cierpienia. – To tu, w bazylice Mariackiej, błogosławiony papież mówił, że cierpienie ludzkie zawsze jest tajemnicą – przypomniał abp Sławoj Leszek Głódź. 24 lata temu w tym miejscu w bazylice Mariackiej obecna była prof. Grażyna Świętecka, przewodnicząca oddziału gdańskiego Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy Polskich. I choć wiele szczegółów spotkanie chorych z Ojcem Świętym po tylu latach umknęło, wciąż pamięta tamten klimat. – Wielu chorych, których pamiętam, a którzy bardzo byli wzruszeni kontaktem z Janem Pawłem II, wkrótce odeszło z tego świata. Mam nadzieję, że zamieniły tę ziemską rzeczywistość na rzeczywistość niebieską. To spotkanie było niewątpliwie umocnieniem dla chorych, ale i dla tych, którzy chorem światą – podkreśla prof. Grażyna Świętecka.

Andrzej Urbański



Opłaca się kogoś kochać

RODZINA BRODÓW. Wyrzucili telewizor, bo im przeszkadzał, siódmkę dzieci postanowili uczyć w domu.

Gdy to usłyszał ich proboszcz, powiedział: super, ale nie poradzicie sobie. Ale sobie radzą. I jeszcze włączają się w projekty, z których mają niewiele albo nic. Wystąpili w koncercie charytatywnym na rzecz wolontariuszy gdańskiej Caritas „Pola Nadziei – dziękujemy!”. O życiu i radości oraz trudach wychowania i wakacjach z Jozko Brodą i jego żoną Deborą rozmawia Andrzej Urbański.

ANDRZEJ URBAŃSKI: Jak Wam jest razem?

JOSZKO: – Mnie dobrze, nie wiem jak Deborze.

DEBORA: – Mnie również.

J.B. i D.B.: – Nie wierzymy w przypadki. Wierzymy natomiast, że to, iż jesteśmy razem, jest planem Bożym, który wypełniamy przez nasze życie.

Jesteście razem 12 lat. Dzisiaj wiele małżeństw przeżywa kryzys. Macie receptę na udane małżeństwo?

J.B.: – Życie w rodzinie wielodzietnej nie jest łatwe. Trzeba

codziennie przekraczać swoje słabości, wygodę i pogoń za pieniędzmi. I choć nie jest to proste, dzieci potrafią zrekomensować wszystko z nawiązką.

Pochodzimy z rodziny wielodzietnej. Mam 11 braci i dwie siostry. To wychowywanie się w odpowiedzialności za drugiego w rodzinie wielodzietnej absolutnie pomaga i rozwiązuje wiele problemów. W czasie świąt przy rodzinnym stole zasiada czasami kilkadziesiąt osób.

Obecność najbliższych jest czymś, czego na nic nie da się zamienić.

Jozko, jako głowa rodziny musisz jednak dbać o budżet domowy. Słyszysz czasami pytanie: jak ty to zrobisz?

J.B.: – To, co się dzieje z naszą rodziną, określam słowem „cud”. Oczywiście pracy i potrzeb jest dużo. Są momenty, w których musimy żyć bardzo skromnie. Dzieci jednak nie mają z tym większego problemu. To doświadczenie ubóstwa jest bardzo dobre. Jeśli w jakimś momencie mamy więcej pieniędzy, to dziękujemy za nie Bogu. Ale pieniądze nie są naszym celem.

Jesteście oryginalni, bo nie macie w domu telewizora. Wychowujecie dzieci systemem domowym. Czy można żyć w takiej izolacji?

J.B.: – My po prostu nie mamy czasu na telewizję. To głupota, na którą nas nie stać. A z informacjami jest tak, że kiedy wybucha reaktor w Japonii, to i tak się dowiadujemy od sąsiadów lub znajomych 30 sekund później niż wszyscy Polacy. Uważam, że jesteśmy tak otoczeni mediami i przepływem informacji, że nawet gdybym miał trzy życia, nie zastanawiałbym się ani chwili, żeby wyeliminować telewizor. To naprawdę wychodzi na dobre wszystkim, dorosłym i dzieciom. A dodatkowo to decyzja wynikająca z naszej wiary, naszego poczucia przynależności do Kościoła i tego, w co wierzymy. Jeśli chcemy otaczać się katechezą świata, która nas niszczy, to dalej trzymajmy telewi-

zor. Jeśli chcemy walczyć o zdrowe rodziny, być bliżej Boga, musimy podejmować decyzje bardziej radykalne. Wybierać, co czytać, jak uczyć. To wszystko ma wpływ na życie nasze i naszych dzieci w przyszłości. I zbliża lub oddala od Boga.

Za chwilę wyjedziemy na zasłużone wakacje. Jak spędzić je mądrze?

J.B.: – Mam kolegę, który wyjechał kiedyś na wakacje swojego życia. Jeździł po całej Europie. Nikomu niczego nie brakowało. Życie nie umierać. Na końcu wycieczki przyjechali do domu mojego teścia, posiedzieli tydzień i kolega zapytał dzieci, gdzie było najfajniej. Odpowiedziały, że w tym ostatnim miejscu. Tak naprawdę dzieciom nie trzeba specjalnych atrakcji.

W domu mojego teścia był tak duży poziom miłości, było tak dużo wspaniałych relacji z rówieśnikami, że wszyscy, którzy przyjeżdżają w to miejsce, mówiąc młodzieżowym językiem – „wymiękają”. Kiedyś z Deborą mieliśmy takie wakacje, podczas których kupowaliśmy sobie wszystko. Wróciliśmy do domu bardzo zmęczeni. I zadaliśmy sobie wówczas pytanie, czy tak ma wyglądać nasz odpoczynek i życie. Zrobiliśmy to, co chcieliśmy, i nie jesteśmy szczęśliwi. To jakiś paradoks. A przecież tak naprawdę chodzi o to, w jaki sposób się przeżywa życie. Dzisiaj widzimy, że najwspanialsze momenty to te, kiedy razem możemy spędzić czas

z naszymi pociechami. Niezależnie od miejsca. Szczęście na pewno nie wiąże się z wylotem samolotem do Bułgarii.

Uczestniczyliście w koncercie charytatywnym „Pola Nadziei – dziękujemy!” dla wolontariuszy Caritas. To, że przystąpiliście do tego projektu, świadczy, iż nie jesteście obojętni na problemy ludzi potrzebujących.

J.B.: – Ostatnia płyta naszego zespołu „Potwory wyłażą z nory” jest naszym przekazem właśnie dla ludzi potrzebujących – tych, którzy nie mogą odnaleźć się w swojej rzeczywistości, tracą nadzieję, nie widzą kierunku, w którym mogliby zmierzać. My ten kierunek chcieliśmy pokazać w piosenkach – nasze życie jest okrętem, który płynie do nieba.

Dom Hospicyjny Caritas jest jednym z wielu hospicjów w całej Polsce. Temat nadziei w tym miejscu ma szczególny wymiar. Jak to jest z tą nadzieją w Waszym wypadku, kiedy zmagania o codzienność mogą przytłaczać?

J.B. i D.B.: – Jak jest nadzieja, to zmagania nie przytłaczają. Gorzej, gdy nadzieja słabnie. Walka toczy się o to, by nie tracić nadziei.

Jakie jest Wasze podejście do śmierci? To kres czy początek? Czy młody człowiek powinien zadawać sobie pytania o śmierć?

J.B. i D.B.: – Pytanie o śmierć jest jednocześnie pytaniem o sens

osoby przez pryzmat zaufania i nadziei?

D.B.: – Gdy miałam 14 lat, zmarła moja siostra. Choć byłam pewna, że ona jest w niebie, to jednak ból

był ogromny. Teraz myślę, że nasze ponowne spotkanie wynagrodzi mi tamto cierpienie... Niedawno byliśmy na pogrzebie Piotra „Stopy” Żyłewicza. Gdy dzieciaki z Arki Noego śpiewały „Nasz Ojciec mieszka w niebie”, pomyślałem sobie, że te słowa mają teraz dla dzieci Piotra podwójne znaczenie... Myślę, że Piotrek jest w niebie. Bóg go zabrał, bo był już na to gotowy.

Gdy w Domu Hospicyjnym spotykam się z pacjentami i ich rodzinami, próbuję z nimi rozmawiać nie o śmierci, ale o życiu. Co, Waszym zdaniem, warto robić w takich chwilach?

J.B.: – Tu, na ziemi, mamy krótki czas, żeby zgromadzić sobie skarb w niebie. Jak? Konkretnie mówią o tym Ewangelie. Myślę, że jesteśmy tu, na ziemi, żeby dać życie. Dać życie – to wyrażenie niesie w sobie głęboką treść: można dać życie komuś, jednocześnie dając swoje życie. Każda czynność – namalowanie

obrazka czy cokolwiek innego, jeśli daje komuś życie, ma głębszy sens. A kiedy człowiek daje i dostaje życie? Kiedy kocha i kiedy jest kochany.

Ale my najczęściej boimy się śmierci. Nie myślimy o niej jako o radosnym momencie, który zbliża nas do Boga. Nie umiemy się z tego cieszyć. Jak to zmienić?

D.B.: – Żeby nie bać się śmierci, potrzebna jest wiara. A ona rodzi się ze słuchania słowa Bożego. Człowiek, który ma wiarę, żyje doświadczeniem Boga. Żyje też przeświadczeniem, że Bóg daje obietnicę, którą później wypełnia. Kto ma takie doświadczenie, nie musi się bać. Tak samo jest z wielodzietnością. Dla mnie taka rodzina jest właśnie utartym schematem, bo w takiej rodzinie się wychowałam i widziałam na własne oczy przez wiele lat, jak Pan Bóg się nami opiekuje i daje nam nie tylko środki do życia, ale paradoksalnie dużo, dużo więcej niż potrzebowaliśmy. Teraz, gdy my jesteśmy wielodzietni, sytuacja jest podobna. Jak ktoś mówi, że rodzina wielodzietna jest nieopłacalna, to mogą tylko wrzucić ramionami – przecież w ogóle nie o to chodzi. Co to za kategoria? A czy opłaca się kogoś kochać?

– Czasami jest trudno, ale zarazem pięknie – mówią o swoim rodzinnym życiu Jozko i Deborę





Proboszcz
św. Brygidy
prowadzi
w głąb historii

Schody donikąd

SENSACYJNE ODKRYCIE

W KOŚCIELE ŚW. BRYGIDY.

– Istnieje prawdopodobieństwo, że czaszki i ludzkie kości należą do ofiar jednej z epidemii. Obawiamy się, że te zarazki przetrwały i mogą być niebezpieczne również dzisiaj – mówi ks. kanonik Ludwik Kowalski, proboszcz parafii św. Brygidy w Gdańsku.

tekst i zdjęcia

Ks. SŁAWOMIR CZALEJ

slawomir.czalej@gosc.pl

Tajemnicze pomieszczenie pod koniec ubiegłego roku odkrył Kazimierz Wójcik, który w parafii jest człowiekiem od wszelakich spraw gospodarczych. Po śmierci ks. prałata Henryka Jankowskiego (12 lipca 2010 r.) zaczął on – warstwa po warstwie, centymetr po centymetrze – eksplorację średniowiecznych schodów, które właściwie prowadziły donikąd. Znajdują się one w południowo-wschodniej części kościoła. Po trzech miesiącach pracy, mozolnego wynoszenia piachu, gruzu i złomu, po raz pierwszy uderzył łopatą w ceglany mur...

W poszukiwaniu kaplicy

Jest 20 października 2010 r. Wraz z ks. Wojciechem Lange, wikariuszem w parafii, schodzimy odgruzowanymi schodami w dół. Przy moich gabarytach jest to właściwie przeciskanie się wąskim zejściem, a same ceglane schody

– niekompletne – też mogą spowodować niezłe perturbacje. Wreszcie jesteśmy na miejscu. Pan Kazimierz zapala żarówkę. Przyciskam oko do muru. W środku widać ludzkie kości.

Kilka dni wcześniej, po uderzeniu łopatą o mur, udało się stosunkowo łatwo wyjąć cegłę z zasypanego kanału wentylacyjnego. Za dużo jednak widać nie było. Wtedy też ks. Lange – po oświetleniu pomieszczenia żarówką – na kiju od szczotki włożył do środka aparat fotograficzny z włączoną funkcją filmowania. Jeszcze tej samej nocy wysłał mi film mejlem.

Wszystko zaczęło się w XIV wieku. W tym miejscu – według legendy – miała się objawić przy studni Matka Boża, nakazując wybudowanie kaplicy pod wezwaniem Marii Magdaleny. Według źródeł niemieckich kaplica pokutnic, czyli najstarsza część kościoła, istniała tutaj już w 1350 r. Sama kaplica stała się nieformalnym miejscem modlitwy upadłych kobiet, które przybywały do Gdańska z okolicznych wsi, wiedzione chęcią poprawy warunków życia. Kaplica powinna jednak nazywać się również kaplicą upadłych mężczyzn... – Kobiety

kierowały się ideą, żeby pokutować za swoich mężów, braci, za mężczyzn, gdańszczan, którzy nie zawsze byli ludźmi szlachetnymi – wyjaśnia ks. proboszcz.

W 1374 r. niepozorne miejsce modlitwy było świadkiem niezwykłego wydarzenia. W grudniu 1373 r. rozpoczął się tryumfalny powrót ciała Brygidy (zmarła w lipcu tego roku) z Rzymu do Szwecji. Kondukt zatrzymał się także w Gdańsku. I to aż na cztery tygodnie. Przez dwa tygodnie ciało przyszłej patronki Europy (uczynił nią św. Brygidę Jan Paweł II) było wystawione w kościele Mariackim. – Tam, przy jej doczesnych szczątkach, modliła się najslawniejsza rekluza i nasza jedyna polska stygmatyczka bł. Dorota z Mątowów – podkreśla ks. Ludwik. Rekluza oznacza osobę, która dała się zamurować, by w zamknięciu żyć modlitwą i pokutą. Dorota mieszkała wówczas w Gdańsku, a jej mąż, człowiek porywczy i pijak, miał zakład płatnerski przy ul. Długiej. Kolejne dwa tygodnie ciało św. Brygidy przebywało właśnie w kaplicy pokutnic. – I to właśnie w jej dolnej części – podkreśla.

Dlaczego aż tyle czasu? Jednym z powodów były panujące na Bałtyku sztormy; trzeba było poczekać na lepszą pogodę. Ostatecznie ciało założycielki zakonu Najświętszego Zbawiciela dotarło do rodzinnej Vadsteny 4 kwietnia 1374 r. Wydarzenie to zapoczątkowało na Pomorzu wielki kult świętej. Do tego stopnia, że ówczesny Wielki Mistrz Krzyżacki podjął próbę przekształcenia gdańskich pokutnic w regularny klasztor Najświętszego Zbawiciela. Coś na wzór siostr „krzyżaczek”. – W tym czasie nie było w Gdańsku żadnego zakonu żeńskiego. Same władze krzyżackie odnosiły się do wszelkich wspólnot zakonnych, w tym i do pokutujących przy studni „magdalenek”, z wyraźną rezerwą – mówi ks. Krzysztof Czaja, miłośnik

historii i sztuki, długoletni wikariusz w św. Brygidzie, a obecnie proboszcz w gdyńskich Karwinach. Bali się konkurencji. Już w I poł. 1392 r. przyjechało do Gdańska kilka siostr z Vadsteny, żeby rozpocząć duchową formację gdańskich pokutnic. Poszło im naprawdę nieźle, bowiem papież Bonifacy IX dwa lata później wydał zgodę na budowę gdańskiego klasztoru. Został on erygowany 8 grudnia 1396 r., a rok później, 4 grudnia, biskup Stefan z Chełmży dokonał konsekracji halowego, 6-przęsłowego kościoła klasztorowego.

I żeby nie było, że legendy są jedynie mitem i bajką... W 1974 r., a więc cztery lata po decyzji o odbudowie kościoła po zniszczeniach wojennych, na dawnym dziedzińcu klasztorowym została odkryta średniowieczna studnia, ocembrowana kamiennymi ciosami. Nie wiadomo tylko, w którym miejscu była Matka Boża...

Testament ks. Jankowskiego

Nie wiadomo, ile ludzkich kości znajduje się w odkrytym niedawno pomieszczeniu, nie wiemy też, dlaczego się tutaj znalazły. Nie znamy nawet do końca rozmiarów tego pomieszczenia, choć z kilku istniejących w kościele krypt ta jest największa. Książd Wojciech kijem od szczotki więcej zdziałać nie mógł. Trzeba jeszcze podkreślić, że już w czasach młodości pan Kazimierz widział przez jakąś szparę ludzkie kości. Może widzieli je także inni gdańszczanie odwiedzający ruiny. Ale kto wtedy – po wojnie – tym by się przejmował. Gdyby też sama odbudowa była przeprowadzona w nieco bardziej normalnych warunkach, a nie pod presją towarzyszy partyjnych, którzy w każdej chwili mogli budowę wstrzymać. Gdyby...

– Czy była to epidemia? Jeżeli tak, to nie wiadomo, kiedy i jaka to była choroba – wyjaśnia istniejący stanowisko Tomasz Korzeniowski, konserwator zabytków. Epidemii w Gdańsku w historii było bez liku. Dżuma, cholera i inne morowe powietrze. Podczas jednej z zaraz, wspomniana bł. Dorota straciła ośmiorgo dzieci. Przeżyła tylko jej córka Gertruda, co wpłynęło na nawrócenie męża. Chyba pojął, że nie warto aż tak bardzo troszczyć się o pieniądze...

Niewykluczone jednak, że mamy do czynienia z historycznym ossarium, typowym dla historycznych świątyń. – Podczas remontów i przebudów składa się ludzkie szczątki w jedno miejsce – wyjaśnia Korzeniowski. Tak było w Gdańsku m.in. w kościele św. Jana.

Jedną z kolejnych obaw związanych z odkrytą kryptą – oprócz mikrobów – stanowiła woda. Okazało się, że miejsce do niedawna było silnie zawilgocone. Woda w starym Gdańsku, przez środek którego przepływa Radunia, jest poważnym problemem, również konserwatorskim. Odsłonięty kanał wentylacyjny na pewno jed-



Efektom kilkumiesięcznej pracy pana Kazimierza jest odnalezienie tajemniczego pomieszczenia

nak wpływa dobrze i na wilgotność, i na wybitcie ewentualnych mikrobów.

Można jednak zadać słusne pytanie, dlaczego ks. prałat Henryk Jankowski nie podjął się dzieła odkrycia i udostępnienia miejsca, gdzie złożone było ciało patronki parafii? Na pewno o krypcie wiedział. Udostępnił ją bowiem sąsiadom – ojcom karmelitom z kościoła św. Katarzyny, na znajdowane kości. Wtedy i jedni, i drudzy ryli w ziemi, dokonując odbudowy, przebudów i konserwacji ciągle poniszczonych świątyń. Były to lata 70. XX wieku. Ale czy krypta zawiera tylko kości znalezione w tym czasie? Też nie wiadomo. – Pamiętam, jak prałat mówił mi jeszcze za życia, że bym tam nie zaglądał, że to temat zamknięty – wspomina ks. Kowalski.

Z drugiej strony pan Kazimierz powtarzał nowemu proboszczowi: „E, prałat tylko tak mówi, ale gdyby miał siły, toby postawił ostatnią kropkę nad »i«”. Wiadomo, że gdy ks. Jankowski przestał być proboszczem, stracił siły i nasiliły się jego choroby. Bursztynowy ołtarz i właśnie krypta św. Brygidy to jego niedokończone dzieła.

– Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, wejdziemy do krypty jeszcze w tym roku – twierdzą zgodnie konserwator zabytków i proboszcz. Nie tylko po to, żeby w przyszłości miejsce mogli oglądać zaciekawieni turyści. Przede wszystkim jednak, żeby przywrócić coś z ducha miasta nad Motławą, tego sprzed setek lat, gdy przy trumnie patronki Europy modliły się gdańszczanki i tłumy ludzi. Wiadomo, że z doczesnych szczątków św. Brygidy nie zachowało się wiele. W samej Szwecji – ku wstydtowi jej mieszkańców – relikwie po przejściu kraju na protestantyzm w 1595 r. zostały bezpowrotnie zniszczone. Największa relikwia – żuchwa świętej – znajduje się w Gdańsku. Ale nie o relikwie tu chodzi. Odgruzowywanie krypty będzie okazją do refleksji nad „odgruzowaniem” siebie. Duch św. Brygidy to przede wszystkim umiar, pokora i wstrzemięźliwość. Do tego wzywała nie tylko ludzi, ale i sam zakon krzyżacki, a nawet papieży. •



Ks. Wojciech Lange wskazuje miejsce, gdzie znajduje się krypta
POWYŻEJ: Kanał wentylacyjny, przez który dojrzeć można ludzkie kości

Rozstrzygnięcie konkursu hafciarskiego w Lini

Krawaty i ornaty

– Stulecie zazwyczaj zamawiają parafianie na prezent dla nowo wyświęcanych księży. Kaszubski haft przypomina im, skąd pochodzą, ale i dokąd zmierzają... – mówi Renata Delevaux z Rekowa.

W Lini 10 czerwca br. zakończyła się XVI edycja konkursu haftu kaszubskiego pod naszym patronatem. W tym roku prace zaprezentowało 119 hafciarzy, którzy na konkurs przywieźli aż 309 prawdziwych dzieł sztuki.

Nieznane ośrodki haftu

Większość prezentowanych dzieł wykonały osoby dorosłe. Jak zwykle silną reprezentację wystawiło Żukowo, kolebka kaszubskiego haftu. – Tegoroczna wysoka frekwencja to efekt tego, że wysyłając zaproszenia, wydzwanialiśmy po urzędach, szukając właściwych adresatów – mówi Jan Trofimowicz, dyrektor Gminnego Domu Kultury w Lini, organizator konkursu. Do tej pory często zdarzało się, że zaproszenia kierowane do sekretariatów urzędów ginęły, albo, krótko mówiąc, lądowały w koszu. W tym roku oprócz reprezentantów tradycyjnego pomorskiego zagłębia hafciarskiego przyjechali również

miłośnicy igły i kolorowych nici z Borów Tucholskich. – Haftuję niedługo, bo tylko 38 lat. Mój mąż myślał, że jak przejdę na emeryturę, to w końcu będę miała więcej czasu dla niego... – śmieje się Marianna Weilandt z Tucholi. Wyszycie pani Marianna nauczyła się zupełnie przypadkowo, i to od samej mistrzyni borowiackiego haftu, Heleny Grabkowskiej. – Wtedy nie miałam wiele czasu, bo pracowałam w sklepie mięsny. Poszłam do niej, żeby zamówić komplet serwetek do domu – wspomina. Pani Helena jednak nie tylko zamówienia nie przyjęła, ale powiedziała dobitnie, że młoda Marianna wstyd nie ma, bo kto to widział, żeby kobiecie z Borów trzeba było serwetki haftować... Kazała natychmiast usiąść i zabrać się do roboty. – Nic nie pomogło. Ani obietnica zakupów, ani zapewnienie, że mam rękę do siekiery, a nie do igły... – mówi Marianna Weilandt. Następnego dnia usłyszała werdykt: „Nadajesz się!”. Pierwsza pra-

Najmłodszy laureaci. Wbrew pozorom, wyszywanie wcale nie jest wyłącznie kobiecą domeną



ca pani Marianna została sprzedana na kiermaszu miejskim. – Potem sprzedałam trzy serwety, a za pieniądze kupiłam opała do domu na całą zimę. To mnie jakoś podbudowało i zachęciło – wspomina. Po latach Marianna przejęła od swojej nauczycielki przewodnictwo w Klubie Haftu „Złoty i bursztynowych barw” w Tucholi.

Terapia i rozwój

Borowiacki haft różni się od kaszubskiego, siedmiokolorowego, przede wszystkim barwami. Jego cechą charakterystyczną jest połączenie różnych odcieni brązów i żółci z królową, jaką jest złota nitka. Wykonane tą techniką czepek, krawaty, obrusy, serwety, a nawet sztandary parafialne wyglądają przepięknie.

– Siedem lat temu przy mojej ulicy powstał środowiskowy dom dla osób niepełnosprawnych intelektualnie. Poszłam tam zajrzeć i zostałam wolontariuszką – mówi pani Marianna. Niepełnosprawni mają więcej kłopotów z kompozycją i z cierpliwością. Chcą swoje hafty

Tym czepkiem Marianna Weilandt zdobyła II miejsce
POWYŻEJ
PO LEWEJ:
Zwyczajowa praca autorstwa Renaty Delevaux

i szybko zacząć, i skończyć. Na szczęście pani Mariannie i innym wolontariuszkom nie brakuje pokładów cierpliwości. Do tego stopnia, że w tym roku dwie podopieczne – Alfreda Byszewska i Marzena Kołatka – za swoje prace otrzymały pierwsze wyróżnienia. I to bez taryfy ulgowej.

Ale haftują nie tylko dorośli. Swoje prace prezentowali w tym roku także uczniowie szkół podstawowych i gimnazjów. Tu prym wiedli młodzi hafciarze z Rumi, Wejherowa, Żukowa i Sierakowic. Głównie dziewczęta, ale zdarzały się też rodzyнки, jakimi są haftujący chłopcy. – Po raz pierwszy zabrał się w naszym kółku regionalnym za haft, ale zainteresowanie było ogromne – mówi Magdalena Grzenkiewicz z SP w Szopie. Mała Monika Klamrowska (wyróżnienie) swoją serwetkę haftowała przez 2 miesiące. – Mama nie haftuje, ale babcia tak. To ona podpowiedziała mi, jak się zaczyna i zakańcza nitkę – mówi. A podobno nie jest to sprawa całkiem łatwa... Z opinią Moniki zgadza się Zuzia Tectaf (III miejsce). – Merezka jest łatwiejsza – wyjaśnia. Czuję, że muszę zajrzeć do „pana Googla”...

– Haft kaszubski pokazuje w kościele dostojność i piękno. Stroje liturgiczne są ozdobione kwiatami, które tutaj rosną – zamyśla się Renata Delevaux. Konkursowa stuła pani Renaty też trafi do kapłana. Najprawdopodobniej na Kaszubach, choć stuły spod jej ręki są też w innych diecezjach oraz na Ukrainie.

Ks. Sławomir Czajek

Przyjdź i obejrzyj

Wystawę pokonkursową można zobaczyć w Domu Kultury (nad remizą strażacką) w Lini do 20 lipca. Od września wybrane prace będą wystawiane w Żukowie.



ZDJĘCIA KS. SŁAWOMIR CZAJEK